

Kronika tygodniowa.

W ubiegłą niedzielę, t. j. dnia 18 lipca b. r., w dzień św. Szymona z Lipnicy (a nie Jana, jak chciał autor afisza, zapowiadającego „wielgi fest“ w Parku Jordana) pokazało się dopiero, dlaczego dotąd nie mieliśmy deszczu, o który tak gorąco prosili rolnicy, fizykai, zakład czyszczenia miasta i ogół mieszkańców. Nie była temu winna ani kanikuła, ani sytuacja polityczna, ani niebieski referent od pogody! Przyczyny trzeba szukać gdzieś indziej, a z pewnością się ją znajdzie.

A czy wiecie, Państwo, gdzie? W okoliczności, iż tego roku nie było w Krakowie ani jednego prawdziwego festynu. Skoro go tylko na niedzielę zapowiedziano, zaczęło się chmurzyć już w sobotę, a potem lunął sobie deszczyk, jak się patrzy, tak, że o wycieczce za miasto ani myśli, trzeba było szukać jakiegoś bezpiecznego, a suchego odcinka, gdzieby można było kilka godzin w spokoju przepełnić. Przyszło to o tyle łatwiej, iż magistrat zniósł drakoński zakaz picia wódki na stojąckich, z tem przecież zastrzeżeniem, że kto pije stojąco, nie może równocześnie czynić tego siedząco i odwrotnie.

Niepogoda owa, aczkolwiek spodziewana i gorąco oczekiwana, podziałała przecież ujemnie na niektóre umysły, czego najlepszym dowodem, iż dwu z mych znajomych, choć kochają się, jak dwa gołąbki, pokłóciło się przy bilardzie, poprzysięgając sobie nieprzyjaźń aż do grobowej deski, albo bodaj do chwili, gdy się znowu uroczyście pogodzą.

Od niepamiętnych czasów, prawdopodobnie odtąd, gdy festyny wynaleziono (bodaj pęk, kto to uczynił!), panuje w Krakowie taki zwyczaj, że właśnie wtedy deszcz pada, zwłaszcza, jeśli na ten dzień zapowiedziano jeszcze produkcje pyrotechniczne, czyli ognie sztuczne. To była zawsze okoliczność obciążająca.

Opowiadał mi onegdaj pewien radca miejski (prawdziwy, ale obecnie w stanie spoczynku), iż przed laty zdarzył się raz wypadek tego rodzaju, że przez całe lato nie było nigdy deszczu w dzień powszedni, padał natomiast regularnie w każdą niedzielę i święto i to już od samego rana aż do późnego wieczora. Ludziska narzekali, cóż jednak było robić, trzeba się było pogodzić z przykrą rzeczywistością. Zastanawiano się nad tem niejednokrotnie, dlaczego deszcz pada właśnie w te dni, a nie inne, zapytywano o radę w obserwatorium astronomicznym (Akademii Umiejętności jeszcze nie było na świecie), ostatecznie zaczęto nawet czynić kroki, aby niedzielę przenieść na inny dzień tygodnia, na co znów nie chciały się żadną miarą zgodzić władze kościelne.

Tymczasem w pewien dzień tygodnia, zdaje mi się we czwartek lub w piątek, w każdym razie w dzień, na który nie przypadał żaden festyn (dni kwiatka wówczas nieznano) lunął deszcz jak z cebra i to w samo południe, w chwili, gdy ów późniejszy radca miejski w odświeżnym angielu wybrał się do jednego z przyjaciół na imieniny. Dla ścisłości muszę dodać, iż ubrania tego używał z zasady, jak na porządnego mieszczanina i obywatela przystało, jedynie tylko w niedzielę i święta.

Ponieważ był to chłop, jak to powiadają nie w ciemną bitę, zwrócił też na tę okoliczność baczną uwagę i zaczął przemyślać, czy też jego czarny surdut nie ma przypadkiem jakiego związku z owym deszczem.

W tem mniemaniu utwierdziło go jeszcze, że w najbliższą niedzielę, gdy wyjątkowo wystroił się w pepitkowe ineksprimable i jedwabną marynarkę, pogoda utrzymała się przez cały dzień.

— Więc jest coś w tem! — powiedział sobie — Mój surdut ma jakiś magiczny wpływ na niebieskie upusty!... — i, aby się o tem przekonać dowodnie, specjalnie wystroił się na czarno w poniedziałek, gdy od samego rana na niebie nie było ani jednej chmurki.

Zaledwie wyszedł na planty, niebo pokryło się chmurami i nie upłynęło więcej, jak pół godziny, lunęło, jak z cebra.

Wobec tego nie należało już wątpić, że surdut ów deszcz sprowadza. Ale w jaki sposób i dlaczego?... Otóż sęk, a w tym sęku dziura!

Od czegoż jednak człowiek ma głowę, a w tej głowie rozum? Wziął więc w rękę nóż i nuż pruć surdut, by się przekonać, czy czegoś tam we wnętrzu tajemniczego nie znajdzie... Niestety, prócz waty i podszewki nie było nic!... Badał tak dokładnie, iż nie darował nawet żadnej dziurce od guzika, wreszcie zwątpił, czy dojdzie do jakiegoś rezultatu, zwłaszcza, że pozostał mu tylko kołnierz, dotąd jeszcze nie zbadany.

Wziął się jednak i do niego. Kraje, rozrywa, pod ręką czuje jakiś papier, który przemysłny krawiec włożył tam, by kołnierz tem sztywniejszym uczynić. Wyciąga go więc i ogląda, kawałek jakiegoś afisza.

Czyta więc, co też tam stoi „wydurkowane“ i widzi z podziwem, że to afisz z ubiegłego roku, zapowiadający w ogrodzie Strzeleckim wielki festyn, który zakończą produkcje pyrotechniczne!...

Wylazło więc w ten sposób szydło z worka, pokazało się, że wystarczy nawet kawałek afisza festynowego i to do tego zaszyty w kołnierzu, by deszcz sprowadzić.

Gdyby nie to, że surdut ów pokrajał na kawałki, czego dziś jeszcze mocno żałuje, mógł go być doskonale spieniężyć, choć Aron Gajer wówczas nie urzędował. Na wieść, że istniał przedmiot w tak ścisłym związku z deszczem stojący, zgłaszali się doń różni agraryusze z propozycją kupienia surduta lub bodaj z prośbą o podanie adresu krawca, który wyrabia taką garderobę, deszcz sprowadzającą. Niestety, każdy z nich musiał odejść z kwitkiem. Surdut już nie istniał, krawiec także już nie żył, gdyż Kostusia w międzyczasie przerwała nić jego żywota...

Jasne przecież jest jak na dłoni, że między festynami a deszczem istnieje bardzo ścisły związek, o czym powinni byli pamiętać panowie, pracujący w różnych komitetach festynowych. Gdy ludziska narzekali na posuchę, należało tylko ogłosić festyn, a mielibyśmy byli deszczu upragniony.

Zakład czyszczenia miasta, który podobno ma być obecnie zreformowany, t. j. śnieg wywozić w lecie, a śmieci w zimie, powinien zaopatrzyć się w kilka podobnych surdutów i obdzielić nimi swych funkcyjaryuszy. Potrzeba deszczu, wysła się jednego lub dwu panów, przystrojonych w takie „deszczoroby“, na ulice, chce się zaś pogody, surduty idą pod klucz.

Oszczędziłoby się przy tej manipulacji na kosztach czyszczenia miasta, nie marnowałoby się też wody wodociągowej do polewania ulic, skoro wiślanej, zanieczyszczonej pono prątkami cholerycznymi, w tym celu używać nie wolno.

Onegdaj sam widziałem kilku bakterjologów z wędkami nad Wisłą. Gdym jednego z nich zapytał, co łowi, odpowiedział mi, że bakcyle z polecenia pana fizyka. Jeden okaz wypchany (bakcyl, nie bakterjolog!... Proszę się nie pomylić!) wystawiony będzie na Rynku krakowskim, by P. T. Publiczność wiedziała, czego się ma strzedz. Szkoda tylko, że wobec ograniczenia sprzedaży alkoholu racjonalna dezynfekcja przewodu pokarmowego jest bardzo utrudniona.

Tyle chyba wystarczy o deszczu, festynach i choleryce, gotów mnie bowiem kto posadzić, że brak mi innego materiału, gdy tymczasem tak nie jest! Jako pilny a sumienny kronikarz dzień cały z notsem w jednej, a ołówkiem w drugiej ręce kręcę się między ludźmi i chwytam na papier, co tylko uznaję za stosowne. W tym samym celu wertuję też codziennie całe stopy pism rozmaitych, z których dowiaduję się zawsze wielu rzeczy ciekawych.

I tak skonstatowałem onegdaj, że Włosi z każdym dniem powiększają swą flotyllę łodzi podwodnych, zamieniając na nie nawet większe krążowniki, jak n. p. Amalfi i Giuseppe Garibaldi, w czym pomagają im bardzo wydatnie austriackie torpedy. Jeśli tak dalej pójdzie w tym samym stosunku, za jaki miesiąc będą mieli całą swą eskadrę już pod wodą, wobec czego i wojna może się raz skończyć.

Pewna wróżka z Podgórza przepowiedziała na dzień 22. lipca b. r. jakieś bardzo wesołe wydarzenie, w tym jednak dniu *Nowości Ilustrowane* są już w rękę Czytelników, wobec czego kwestyą tą zająć się możemy dopiero w następnym numerze. Ja przypuszczam, że najbardziej ucieszyłaby każdego wiadomość, iż wojna już się ukończyła, zawarto pokój i nastały normalne czasy. Wówczas wszyscy, jak jeden mąż, zabierzemy się do naprawy tego, co nam tymczasem się popsuło, postaramy się też, by zapobiedz wyludnieniu kraju. To obowiązek każdego uczciwego człowieka, nikt też chyba odeń się nie uchyli. Wszak nawet i w czasie wojennym otrzymują żołnierze urlopy na żniwa, z poleceniem, by potem złożyli z swych czynności sprawozdanie.

O notach, jakie rozmaite państwa ze sobą zamieniają, pisać nie będę, każdy, kto ma oczy ku czytaniu, znalazł to w pismach codziennych, powtórzone nawet po kilkanaście razy. Szersza polityka to zresztą nie mój fach. Ja tam wolę zajmować się więcej sprawami domowymi, to jest odnoszącymi się do naszego kochanego Krakowa,

Co do grożącego nam bezkrólewia, o którym wspominałem przy końcu poprzedniej kroniki, to dotąd nic pewnego nie wiemy, pojawiły się tylko luźne wiadomości, iż rada przyboczna i prezydium miasta postanowiły przyznać w danym wypadku panu prezydentowi pełną emeryturę w kwocie osmnastu tysięcy koron rocznie.

Ładne to zaopatrzenie na starość! Choć czuję jeszcze dość siły w swych spracowanych zresztą członkach, bardzo chętnie zacząłbym udawać niezdolnego do pracy, gdybym tylko wiedział, że i ja coś podobnego dostanę. A kronikarz *Nowości Ilustrowanych* zasłużył sobie chyba na taką pomoc na stare lata, zwłaszcza, że nie posiada on ani parcel budowlanych, ani kamienic, ani nawet wołu albo osła...

Kraków ma zaś widocznie flotę, kreuje bowiem ciągle nowe posady, które wymagają coraz to większych wydatków. Niedawno ustanowiono urząd jenerałego aprowizatora głodnych mieszkańców miasta, co ma kosztować rocznie około jedenastu tysięcy koron, powinno się wobec tego znaleźć bodaj z dziesięć tysięcy na emeryturę dla mnie.

Ze zaś Kraków jest naprawdę „Wielki“, o tem przekonałem się już choćby z tego, iż posiada odtąd aż dwu syndyków, w których jeden nazywa się „z tej stony Wisły“, drugi „z tamtej“. Dotąd wiedziałem z geografii, że istnieją kraje z tej i tamtej strony Litawy lub Anizy, obecnie ten sam podział zastosować trzeba do syndyków miejskich.

Podobno we Wiedniu jest tylko jeden syndyk i to wystarczy. Kraków musi ich mieć aż dwu, każdego na innym brzegu Wisły, bo nuż ona wyleje. zerwie mosty i uniemożliwi komunikowanie się między obu połowami miasta?

Z kolei rzeczy zawadzić muszę także i o olej rycynowy, który w takim ścisłym związku stoi z naszymi sprawami wewnętrznymi. Wodę pić nam już wolno, ułatwiono także konsumpcję trunków palonych, obostrzono natomiast przepisy, odnoszące się do sprzedaży tego wypróbowanego środka, przy którego pomocy bardzo łatwo można się pozbyć tego, co nam dolega. Skutek to wojny, cały zapas oleju rycynowego zabrali podobno Włosi, by w ten sposób podnieść ducha rycerskiego i ruchliwość swych wojowników.

Z konieczności musimy więc obejść się bez olejku, zastąpić go może gorzka woda lub jakiś inny podobny przetwór, ale i z nimi należy się obchodzić bardzo oszczędnie!

Skoro jest mowa o środkach leczniczych, to wspomnę o kłopotach, jakie mają obecnie nasi aptekarze ze swą klientelą, a to dzięki urzędowemu ograniczeniu sprzedaży alkoholu w szynkach.

Opowiadał mi jeden znajomy kręciproszek, iż od pewnego czasu zwiększył się ogromnie popyt na różne medykamenty, należące od tak zwanej ręcznej sprzedaży, a zawierające alkohol, zwłaszcza zaś na tak zwane krople Hoffmanna. Kupują je ludziska w dzień, a nawet i w nocy nie dają aptece spokoju.

Przed kilku dniami zauważył, iż z jednego i tego samego domu kilka razy przychodzono po „krople Hoffmańskie“. Pierwszy raz wydał, drugi raz odmówił, gdy go zaś stary babsztyl jeszcze w nocy z tego samego powodu budził, bez ceremonii wyrzucił ją za drzwi.

Babina nie obraziła się wcale, owszem, na drugi dzień rano, ledwie tylko otwarto podwoje apteki, zjawiła się znowu i mówi:

— Proszę kropli Hoffmańskich za trzydzieści centów.

— Dla kogo? — pyta aptekarz.

— Dla mojego starego, bo go coś ciągiem na wnątrzu gniece.

— Wezwać doktora! Krople mogą wydać tylko na receptę!

— Na receptę? A możeby pan aptykorkz dali innych kropli!

— Mogę dać miętowych!

— To proszę za trzydzieści centów...

Gdy już otrzymała, puściła farbę, bo pyta:

— A czy te krople można pić, jak wódkę?

Aptekarz zaś na to z uśmiechem:

— Nie! Po tych kroplach, gdy ich zażyć naraz zawiele, mogą nastąpić wymioty.

Starą tak to zgniewało, że zaraz po wyjściu z apteki wypaliła flachą o brak uliczny.

Potrzeba jest nam wynalazków. Nie wolno kupować wódki, wolno przecież się leczyć, bo nawet pan fizyk woła: „Sznuj zdrowie należycie, bo, jak umrzesz, stracisz życie!“